

Miasto witało nowy dzień. Nie trzeba było patrzeć przez okno lub nawet podnosić głowy, by się o tym przekonać. Atmosfera optymizmu wisiała w powietrzu niczym lekka mgiełka porannej nadziei. Słońce pchało się do pokoju przez szpary między żaluzjami, za oknem jak co rano ulice rozbrzmiewały gwarem samochodów, nowoczesnych klimatyzowanych autobusów, stukotem damskich obcasów czy echem niezobowiązujących rozmów. Nie musiałem podchodzić do balkonu, żeby zobaczyć ten codzienny spektakl. Oczyma wyobraźni widziałem, jak ludzie mijają się na ulicy ze swoimi teczkami, neseserami, plecakami, jak mówią sobie dzień dobry, gnają do pracy, szkoły, na zakupy czy po prostu przed siebie, by nie siedzieć beczynnym w domu w tak piękny poniedziałek. Bo ten niewątpliwie do takich należał, rozpościarał ramiona, biorąc miasto w swe przyjazne objęcia. Zanim poczułem stuknięcie, kątem oka zarejestrowałem nieznaczny ruch po mojej lewej stronie. To żona posłała mi pstryczka w nos, wrywając z zamyślenia. Odwróciłem głowę, jej długie włosy leżały na poduszce jak wachlarz w kolorze hebanu, a nocna koszula opinała zgrabne ciało. Klara uśmiechała się: lekko, swobodnie, bez cienia przesady; tak jak zawsze. Przesłałem myśleć o mieście, pracy, obowiązkach. Na wszystko przyjdzie czas. Tego dnia wyprzedziłem budzik o dobrą godzinę, żona również. Obudziliśmy się szczęśliwi, pełni energii, upojeni własną bliskością, dotykiem, spojrzeniami; wszystkim tym, co czyni nasz świat piękniejszym. Praca nie ucieknie, życie nie planuje się nagle wykoleić ani zmienić trasy. Póki co świat zamknął mnie z czterech ścianach sypialni. I ani myślał wypuścić.

Obudziłem się po raz drugi. Tym razem naprawdę. Przetarłem oczy, na próżno szukając słońca; schowało się za grubą warstwą chmur. Nie mieszkałem w parterowym domu z piękną kobietą, nie zarabiałem góry pieniędzy, a odgłosy miasta wcale nie zachęcały do podejmowania jakiegokolwiek aktywności. Nie byłem prezesem wielkiej firmy, ani nawet przeciętnym przedstawicielem szlachty średniej. Wiodłem żalostny żywot statystycznego polskiego pechowca, złączonego swym nieszczęsnym losem z dwójką współlokatorów gdzieś na obrzeżach miasta, gdzie ludzie uważali się za prawowitych mieszczuchów, choć psychicznie i obyczajowo stali na poziomie stada much nad ciepłym jeszcze gównem. Nosili oni nieśmiertelnie modne fryzury na smoka, kieszonkowe tatuaże z własnymi imionami na przedramionach, a wartość akcesoriów do upiększenia samochodu kilkakrotnie przewyższała wartość ich aut. Co rano budził nas brzęk rozbijanych butelek po piwie, niemiłosierny ryk zdezelowanych autobusowych silników czy krzyki osiedlowej bandy. Przesiąkaliśmy tym wszystkim, niczym niepalący w zadymionym klubie jazzowym. W naszym nieformalnym, globalnym CV figurowaliśmy jako wykształcone i wyuczone żuki gnojowe; sterczeliliśmy przy dupie wszechświata, chwytając gówniane bobki codzienności. Miałem dwadzieścia pięć lat, lecz poza nerwicą nie dorobiłem się niczego. Niech inni mówią, co chcą, ale dla mnie ćwierćwiecze na tym zadupiu oznaczało koniec wszelkich nadziei; coraz bardziej obawiałem się, że skończę w rynsztoku lub podetnę sobie żyły... albo znajdą mnie w rynsztoku z podciętymi żyłami. Owszem, nikt z nas nie spodziewał się cudów, zwłaszcza za pieniądze, które mieliśmy do zaoferowania, jednak tego, co nas czekało, też się nie spodziewaliśmy. Szkoła, studia, ambicje, oczekiwania, głowa pełna pomysłów na siebie. Później zderzenie z betonową ścianą w krainie koneksji, obłudy, ograniczeń; monstualnego środkowego palca wymierzonego właśnie w ciebie. Witamy w kraju, gdzie wszyscy kopią cię w dupę i pytają, czy aby nie za słabo.

Trzecia próba podniesienia się z łóżka zakończona niepowodzeniem, zupełnie jakby sprężyny ożyły, oplotły mnie od stóp do głów, nie wypuszczając z objęć. „Kurwa mać” - przekląłem, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, jakby to niezbyt wyszukane stwierdzenie doskonale oddawało sens codziennego starania i walki z losem. W domu panowała cisza, przerywana nieśmiałym chrapaniem Stracha. Gardziel zajmował dzisiaj apartament małżeński, czyli ciasny pokój naprzeciwko łazienki, gdzie oprócz łóżka stała

nocna szafka z czerwonym abażurem, zminiaturyzowana wersja burdelowych pokoików, które przemierzał Max Payne w pierwszej części sławnej gry komputerowej. W apartamencie wyrko było najwygodniejsze, o niebo lepsze niż dwie sofy w salonie. Mogłeś zaprosić do siebie przyjaciółkę, nie obawiając się spojrzeń współlokatorów. Czyżby Gardziel dzisiaj przyprowadził jakąś dziewczynę? Nie pamiętam. Chyba zbyt szybko odpłynąłem.

Po czterdziestu minutach wlepiania wzroku w plamę na suficie wreszcie udało mi się wstać. Nie czułem się pijany, ale dwa piwa nadal siały ferment w żołądku. Nie wiem, czemu dałem się namówić. Zaraz... no tak. Brakło herbaty.

Stałem przy przedwojennej meblościance, podziwiając sztukę rzemieślniczy ludzi, którzy zmarli, zanim zdążyłem przyjść na świat. Może to już nie modne, ale jakie solidne. Strach pomyśleć, co i w jakich ilościach dźwigały te półki, jakie domy odwiedziły, zanim poznały nas. To jest dopiero historia. Dzisiaj przemysł stawia na tanioczę, jak najwięcej jak najmniejszym kosztem. Jesteśmy otoczeni przez wszędobylskie skośnookie podróbki, skandynawskie sklejki, żarcie w proszku, muzykę na pięć minut, samochody na kilka sezonów, małżeństwa do pierwszej kłótni. Wszystko z tak krótkim terminem ważności. Zalew współczesnej zgnilizny.

Drapałem się bezradnie w głowę, stercząc przed otwartą szafką, w której jedyną namacalną rzeczą był wszechobecny kurz. Nie wiem, czy mydło Biały Jeleń stanowiło dla niego jakiś afrodyzjak, ale skubaniec pchał się do mnie jak nachlani imprezowicze do striptizerki podczas elektro-potańcówek w wiejskich oborach. Wyciągał łapska z gracją japońskich demonów, gdyby miał swoją personifikację, pewnie śliniłby się okrutnie, podobnie zresztą jak nachlani imprezowicze w wiejskich oborach. Ostatecznie to właśnie kurz rozwiął większość moich porannych wątpliwości; żaden ze współlokatorów nie zrobił zakupów. Zaraz potem nadeszła kolejna fala niepokoju. Co z obiadem? Gotujemy zupę czy wodę na zupkę? Mam zjeść kanapkę z masłem i popić herbatą ekspresową z supermarketu, czy uraczyć podniebienie specjami kuchni chińskiej w foliowych torebkach, złoty czterdzieści za sztukę? Spojrzałem na ścienny zegarek - dochodziło południe. Budzik chyba znowu sprzeniewierzył się moim zaleceniom. Nawet jemu się nie chce wywiązywać z obowiązków. Za późno na śniadanie, za wcześnie na obiad. Nie do wiary. Ledwo doszedłem do szafki, nie zdążyłem się dobrze podrapać po jajach, a na barki już spadł mi ciężar wyboru, to nurtujące żołądkowe ultimatum nie znoszące zwłoki. Kiszki grały mi marsza jak rozstrojona orkiestra strażacka na zimowym przemarszu. Nadzieja, z którą wczoraj kładłem się spać, odjechała z gracją liniowego autobusu; ociężała, głośno, w chmurze czarnego dymu.

Na chwilę odłożyłem żywnościowe dylematy, chociaż bebecz zmuszał mnie do przeszukania kolejnych szafek aneksu kuchennego. Podeszedłem do okna, by wyrzeć na ulicę. W międzyczasie włączyłem radio. Odbiornik pobuczał przez moment, zagrała muzyczka - ta cholerna melodia, którą słyszę w pracy setki razy, do chóru z warkotem przemęczonych lodówek - a zaraz potem spiker zabrał się do relacjonowania wydarzeń spod pióra napuszonego orzełka. Afera, przekręt, skandal, kradzież, morderstwo, wszystko z przedrostkiem „kolejna/kolejne”. Urzędas znowu zrobił w konia przeciętnego zjadacza chleba; biedny Kowalski zapomniał jakiegoś podpisu, albo za bardzo się rozszalał z długopisem; nic dziwnego, żyjemy w państwie cwaniaków, ciemniaków i pieczętek. Politycy znowu zabrali głos w strategicznych dla naszego kraju kwestiach, znowu bez żadnego rezultatu; *Drodzy państwo, temat emerytur i bezrobocia jest dla nas niezwykle frapujący, wobec czego pragniemy zwołać międzypartyjne spotkanie, na którym omówimy szczegółowo wszystkie aspekty życia Polaków, opracujemy plan działania, zgarniemy tyle forsy, że do końca życia będziemy podcierać sobie dupy banknotami, przejedziemy się luksusowym samochodem, zaliczymy parę ekskluzywnych panienek, a wszystko za wasze pieniądze. Życie nam powodzenia!* Kolejny ojciec zamordował swoje dzieci, po czym powiesił się na żyrandolu, kolejna matka upiła się w domu, podczas gdy jeszcze bardziej pijany konkubent robił sobie worki treningowe z jej kilkuletnich pociech, a w kolejnym bidulu starszaki doprowadziły młodszego rówieśnika do próby samobójczej. Człowiek - globalny eksporter debilizmu. Jakiś kierowca podczas ucieczki wjechał na moło, nie zważając na spacero-

wiczów; pozał się Boże Pan Mercedes – King pewnie zwija się ze śmiechu - ale jaki cyrk, takie mały. Czasami myślę, że Bóg to zwyczajny farmer. Wstaje skoro świt, zakłada gumowce, słomkowy kapelusz, wciska wykałaczkę między zęby, odpala wielki traktor z i rozrzuca za sobą gnój. Obornik aż paruje od smrodu w świetle porannego słońca, dieslowski silnik ryczy jak dziki, cała buda ledwo trzyma się na swoim miejscu, a nasz rolnik pędzi przed siebie z bezzębnym uśmiechem na ustach. Świątek, piątek! Nie ma opierdalania!

Nagle, natchniony przez jakąś nieznaną mi siłę doznałem olśnienia. Znalazłem rozwiązanie mojego porannego problemu, tego najwcześniejszego, pierwszego z niekończącej się lawiny wątpliwości i rozczarowań. Nie znajdę lekarstwa na politycznych zasrańców, nie oszukam szczodrych jak dupa przy zatwardzeniu urzędasów ani nie poucynam głów zwyrodnialcom. Ale wiem, co mogę wrzucić na ruszt. Hedonizm wziął górę nad poczuciem człowieczej czy narodowej przynależności; obie były zresztą gównem warte. Rozpuściłem w szklance kostkę rosółową i umoczyłem w niej suchy chleb. Z czerstwego pieczywa marny byłby użytek, a bulion łechtął moje nozdrza niczym niedzielny obiad w rodzinnym domu. Idealny balans. Studencki wręcz recykling. Wspomnienie porannego pieczywa, a zarazem zapowiedź popołudniowej zupki, jeżeli ktoś ruszy dupę, by ją zrobić. Przynajmniej tyle mogłem dać od siebie, dla siebie. Moje małe niebo. Ratowaniem świata zajmę się później. Na razie jestem zwyczajnie, po polsku głodny. Poza tym w żołądku jeszcze nieśmiało tańczyły resztki wczorajszego piwa i zakąsek; rozcieńczony roztwór nitrogliceryny. Wystarczy chwila nieuwagi, by zbudzić śpiące w trzewiach pradawne bóstwa.

A rosółek z kostki tak pięknie pachniał!

Strachu właśnie wtaczał się do pokoju... kuchni... cholera, ciężko powiedzieć, jak nazwać to pomieszczenie. W jednym kącie łóżko, w drugim zdezelowane biurko do nauki, w trzecim szafa, która niedługo wyryga na podłogę wszystkie niedbale złożone ubrania, a w ostatnim spartański aneks kuchenny; lokal wielofunkcyjny. Nie przeszkadzało nam to zbyt. Strachu na początku trochę marudził, bo na co dzień mieszkał w większym i wygodniejszym domiszczu, lecz szybko przywykł do obecnych warunków. Bywało tak, że ja szukałem w szafie roboczego uniformu, Gardziel odsypiał nockę w fabryce mebli, a Strachu szukał czegoś w bogatej ofercie kanałów naziemnych, tym cholernym rogu obfitości, gdzie albo wszystko leci w tym samym momencie, albo w ogóle. Nikt na nikogo nie narzekał. Dobrze wiedzieliśmy, że za dwa dni rolę mogą się odwrócić; ja będę garował na kanapie, Strachu zawalczy z szafą na ubrania, a Gardziel bezskutecznie poszuka szczęścia przed szklanym toi toiem.

- Widzę, że ktoś na górze opróżnia pęcherz – stwierdził Strachu, patrząc na tonące w wodzie ulice. – Się wczoraj opił.

- To dlatego deszcz śmierdzi jak stęchłe liście?

- Bóg nie sika mydłem w płynie, przyjacielu. Wtedy żylibyśmy jak pączki w maśle. Co tam na stacji?

- Palacze, alkoholicy, hazardziści, bezdomni, zagłodzeni i kilku kierowców. A u ciebie?

- Kicha. Krakowska, Podwawelska, Salami. Do wyboru, do koloru. Królowie MOM-u zapraszają.

Zważając na fakt, że Strachu pracował przy produkcji kiełbasy, takie wytłumaczenie mi wystarczało. Nigdy nie chwalił tej posady, lecz zawsze trzymał fason. Wyobrażałem sobie, że wróciłby z pracy po zbiorowym gwałcie i powiedział: „Co za robota, każdy czyha na twoją dupę!”. Strachu wyniósł z domu niezmierzone pokłady cierpliwości, Gardziel wręcz odwrotnie, a ja byłem specem od pieprzenia tekstów typu: „Bo kiedyś to było inaczej, moje kochane wnuczka”. Razem tworzyliśmy brygadę nie do pokonania. Jeden się wściekał, drugi się z niego śmiał, a trzeci siedział w kącie pokoju ze śrubokrętem, konstruując wehikuł czasu, żywiąc głupią nadzieję, że w końcu musi się udać. Kiedyś pod blokiem naskoczyło na nas dwóch obszczymurków. Gardziel poobijał im szczęki i obrzucił kilkoma niewybrednymi uwagami, ja stwierdziłem, iż dawniej takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia (chciałem nawet wzywać poręcznika Borewicza, mistrza ciętej riposty), a Strachu pocieszył ich stwierdzeniem, że skoro mają zdrowe nogi, niech zrobią z nich użytek, bo słowo „wpierdol” nie rozbrzmiało jeszcze do końca w powietrzu i po-

trzebuje małej poprawki. Taka to była z nas paczka.

Gardziel dołączył do porannej trupy niedługo później. Wyprowadził z apartamentu jakąś dziewczynę. Znałem ją. Była ładna. Od szyi so stóp. Na tym kończyła się lista zalet. Dalej było już tylko gorzej. Skąpy ubiór zakrywał wyłącznie strategiczne punkty kobiecego ciała. Niby pełne piersi, krągłe pośladki, figura w porządeczku, lecz twarz dość dziwna, wiecznie obrażona, a spojrzenie tępe, zamglone, jakieś nieobecne. Laska wystawała na parkingu stacji do późnych nocy, pałac fajkę za fajką, delectowała się hot-dogami (sos eee... no, eee... jakikolwiek), rzadko kiedy mówiła coś konstruktywnego, i chyba była ślepa, bo nie odróżniała blondyna od bruneta, kleiła się do wszystkich.. Koleżanka nie zaszczyciła nas przywitaniem, pożegnaniem, nawet prostym wulgaryzmem. Po prostu sobie wyszła, poprawiając na tyłku sznurek od majtek. Mnie to specjalnie nie zdziwiło. Widywałem już to i owo. Ale Strachu zdawał się być skonsternowany, co z jego charakterem zakrawało na nie lada wyczyn. Pilnie obserwował całą jej drogę od pokoju do drzwi wyjściowych, jego oczy wędrowały z góry na dół, jakby próbował przejrzeć ją na wylot, a nie tylko podziwiać fizyczne walory blond dziewczoi. I znowu powtórka z rozrywki; Gardziel był zniesmaczony (stwierdził później, że pokojowa żarówka ma więcej intelektu niż ona), ja analizowałem, czy paręnaście lat wstecz taka spódniczka nie wywołałaby skandalu obyczajowego, a Strachu szukał w dzieciństwie dziewczyny przyczyn jej spóźnionego buntu (może rozwód rodziców, może złe towarzystwo, jakaś choroba psychiczna, mowa ciała wysyła różne sprzeczne sygnały...); wszędzie te cholerne schematy. Gombrowicz w praktyce.

- Kiedy znajdę sobie porządną dziewczynę? – zadumał się sztucznie Gardziel, podchodząc do otwartej drewnianej paszczy, gdzie poza kurzem i lekkim zapachem stęchlizny ciężko było znaleźć coś innego. Strachu obrzucił Gardziela badawczym spojrzeniem, podobnym jak parę chwil wcześniej blond cizię, po czym spuścił głowę, jakby dziewczyna i nasz wspólny kumpel pochodzili – o zgrozo! – z tej samej materii. Czarnej dziury.

- Są dziewczyny i kobiety, październikowy romantyku. Dla dziewczyny masz być jednocześnie ciepłą klułą, zazdrosnym tyranem, poważnym gościem oraz uciekinierem z więzienia dla psychopatycznych morderców; czyli w ogólnym skrócie psem. Dla kobiety powinieneś być przede wszystkim sobą; unikać wad, pielęgnować zalety i dać się nieść fali. Rozumiesz?

Gardziel na chwilę zastygł w bezruchu. Zaraz potem na twarzy jego zagościł wyraz zadowolenia, jakby pojął coś naprawdę istotnego, choć wszyscy wiedzieliśmy, że wieczorna koleżanka służyła jedynie jako przyjemniejszy substytut prawej ręki.

- Ale w łóżku była naprawdę niezła. Wybaczę jej nawet fakt, iż nie kojarzyła „Rozgniewanego Węgielka” czy "Ani z Zielonego Wzgórza".

- Nie czytałeś tego – zauważył Strachu.

- Nie – odparł Gardziel, po czym nagle się wyprostował, celując w niego palcem. – Ale wiem, że jest!

Teraz wszyscy trzej kontemplowaliśmy zawartość szafki, wymieniliśmy nic nie znaczące spojrzenia typu „Czy ktoś widział uciekającą szynkę w plasterkach?”, w nadziei że żywieniowy problem sam się załatwi... albo ktoś się wreszcie wyłamie i pójdzie na zakupy z własnej inicjatywy. Pobożne życzenia. Znaliliśmy się dostatecznie dobrze. Staliśmy więc jak kamienne posągi. Po pięciu minutach zaczęliśmy przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu drobniaków. Było w nich wszystko, oprócz pieniędzy oczywiście. Wygrzebaliśmy wystarczającą kwotę, by zamówić mniejszą pizzę. Pod kanapą wygrzebaliśmy drobniaki na dostawę. Problem obiadu załatwiony. Gorzej z kolacją, ale o to będziemy się martwić później, jeśli w ogóle.

W końcu mieszkaliśmy tutaj już cztery lata. Nie takie prywatne kataklizmy znosiliśmy.

Lubiłem powtarzać, a właściwie to wmawiać sobie, że jestem badaczem. Że nie spędzam kolejnej nocnej zmiany w letni weekend w towarzystwie pijanych kmiotków czy łatwych, wiecznie zdziwionych laseczek, lecz siedzę z operatorem kamery w samym środku amazońskiej dżungli, podziwiając razem z nim

tamtejszą faunę i florę. Obserwujemy dzikie zwierzęta, badamy fakturę wielkich zielonych liści, robimy zdjęcia, notatki. Przewodnik oprowadza nas po najbardziej uczęszczanych szlakach, poznajemy miejscowe plemiona, pomagamy im w zdobyciu pożywienia (w końcu sami będziemy to jeść), panuje atmosfera przyjemnego rozprężenia, każda minuta rozbrzmiewa jak echo zwierzęcych odgłosów, niesie się przez gęste lasy; kolebka życia, umiłowanie chwili, tu i teraz. Kończą nam się taśmy, więc pakujemy matki, nie bez żalu. Później do studia, montaż, Krystyna Czubówna - przyrodniczy hit gotowy! A w planach kolejne reportaże, wyjazdy. Niestety, dużo różniło wybryki mojej wyobraźni od rzeczywistości; amazońska dżungla jest z pewnością bardziej przewidywalna, ma klasę, Indianie nie krzyczą: „Dziesięć hot-dogów z sosem meksykańskim! Bierzemy po secie? Nie pierdol! Ze mną, kurwa, nie wypijesz?! Pan da jeszcze trzy cytrynówki!”, szympansy nie żelują włosów, nie wkładają spranych dżinsów, nie pakują się po siedmiu w samochód, bo przecież każdy chce coś wypić.

W ten sposób (jakoś) znosiłem najgorsze zmiany w pracy, kiedy zalew konsumenckiej szarańczy pustoszył półki z alkoholem, hitem wieczoru były hot-dogi, procentowe trunki oraz papierosy, a ludzie zachowywali się jak świny przy korycie. Mój partner zza kasy powiedział kiedyś, że praca z ludźmi to najgorsze dziadostwo. Odpowiedziałem, że się myli, a gdy spojrział na mnie ze zdziwieniem, odparłem: znajdź mi człowieka w tej paradzie dziwołagów. Był to oczywiście krzywdzący sposób myślenia, zdawałem sobie z tego sprawę. Stephen King napisał: „Nawet zepsute zegarki raz dziennie pokazują właściwą godzinę”. Dobrzy ludzie byli właśnie tą chwilą, złudnym przecuciem, że może jednak można uszczknąć z naszego straconego gatunku kilka perełek, przestać kojarzyć ludzi z umysłową ułomnością i napastliwą wręcz tendencją do szerzenia globalnego obciachu. Mam nadzieję, że tym nielicznym, którzy zasługują na coś więcej niż kopniak w dupę uzmysłowiłem, iż są wartościowi; dobrym słowem, uśmiechem. Jeśli nie, trochę mi głupio. Ale tylko przez chwilę.

O! Teraz już nie!

Szedłem do pracy z niejasnym przecuciem, że coś się wydarzy, że katastrofa wisi w powietrzu niczym ciężkie burzowe chmury. Dzień był ciepły i słoneczny, więc wizja stawała się coraz wyraźniejsza, wręcz nieunikniona. Czułem się jak ofiara klątwy, która lada moment miała się spełnić. Można rzec, że odliczałem minuty do spotkania z przeznaczeniem, jakiegokolwiek miało być.

Widok stacji na nowo rozbudził we mnie tęsknotę do innego świata; każdego poza tym. Słup z cenami paliw sterczał przy wjeździe jak gigantyczny krzywy penis w kolorach z dziecięcej malowanki, na parkingu zebrali się pierwsi stali bywalcy (siemaaaa, no kurwaaaa, ja pierdolęęę – mędracy świata, monarchowie), przy jednym z dystrybutorów ciągnął się ogon samochodów (osiem stanowisk, a wszyscy znowu pchają się na trójkę, jeszcze wściekli, że muszą czekać), przy jedynce jakiś facet po trzydziestce czeka z rękami w kieszeniach, aż ktoś zatankuje jego króla szos (paliwo za dwadzieścia złotych. Jakie? No, paliwo! A to jest kilka?), ci bardziej bystrzy radzili sobie sami, chwila moment i po sprawie, ci bardziej nieporadni nadal sterczeli w kolejce, nawet nie zdając sobie sprawy z własnej ułomności. Ktoś nie potrafił wpisać sześciu cyfr kodu na myjnię, ktoś narzekał na ceny paliw, tu problem, tam problem, temu nie działa, temu działa za dobrze, ten nic nie wie, kolejny się wymądrza, choć też gównie wie, setka, piwo, fajki, hot-dog (jak to nie ma kabanosa? Trudno, niech będzie zimny, nagrzej się od bułki), faktura (na kogo? Na mnie!), w międzyczasie awaria serwera, tankowanie za trzy stówki i brak autoryzacji (nie mam gotówki, zawsze płacę kartą), tuzin klientów po wódkę na krechę (przecież jutro ci oddam, mi nie wierzysz?), niekończący się pociąg skarg i pretensji. Przekrój klientów przypominał bilans upadłego boksera: Trochę wygranych, trochę remisów, miazdząca liczba porażek.

Gutek przywitał mnie z miną zbitego psa. Przepowiednia się sprawdza, pomyślałem.

- Ja też nie jestem zachwycony, że muszę tutaj przychodzić – odparłem – ale spokojnie, stary druhu. Poradzimy sobie. Piwko na rozbieg i lecimy z koksem.

- Nie o to chodzi – odparował Gutek. – Przyszedł raport. Najniższy wynik od pół roku. Na naszej zmia-

nie. Jeszcze nie wiadomo kto, ale kierownik zapowiedział, że zabierze premię pechowej dwójce. Czyli nam.

- Byliśmy niegrzeczni?

- Coś ty. Po prostu brakło firmowych odzywek. Witam na naszej stacji, proponuję to, tamto i siamto, dzisiaj zdobył pan trzydzieści punktów...

- A rano zrobił pan dorodną kupę na nocnik – taką twardą, ciemną, usianą bruzdami. Gratuluję, kliencie. To twój szczęśliwy dzień!

- Coś w tym stylu – mruknął Gutek. – Na szczęście darowałeś sobie spostrzeżenia na temat sukcesów defekacyjnych naszego cichego cwaniaczka, choć nie ukrywam, że facet jest pożądany jak sraczka. I ma w sobie coś z gówna.

- Amen.

- Ej! – krzyknął jakiś facet, wchodząc do sklepu. Podszedł do kasy i rzucił na blat wymiętoszoną stówę. Nawet psom grzeczniej podaje się ochłap mięsa. – Potrzebuję oleju do samochodu.

- Jakiego rodzaju? – zagadnął Gutek udając, że to chamskie wejście nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Przywołał na twarz Uśmiech Numer Trzy, zarezerwowany tylko dla upierdliwców, ignorantów oraz kretynów.

- Do Forda.

Gutek wyjrzał na plac, gdzie kolejne samochody zaczynały gromadzić się jak woda na spiętrzonej rzece.

- Do tego niebieskiego? Przykro mi, ale mamy tylko oleje do żółtych Fordów. Odcień: Yellow Bahama.

- Co to za stacja! – prychnął facet.

- Co to za Ford! – zarepetował Gutek.

Gość zabrał stówę, a raczej jej przepoconą wersję do kieszeni. Rzucił kilka uwag na temat słabego zaopatrzenia sklepu, po czym wyszedł. Postanowiliśmy dalej nie wałkować tematu raportu. Co będzie, to będzie. Nie pierwszy raz zdarzył się nam konflikt z władzą. Skargi sypały się na nas jak cukierki z rogu obfitości. Ludzie grozili nam policją, sądem, kolegami, jeden nawet wyskoczył na nas z pięściami. Gutek przytrzasnął mu palce okienkiem kasy nocnej, ja poprawiłem. Wieczorny patrol nie chciał przyjechać na interwencję, więc sami załatwiliśmy problem. Kierownik był wściekły. Znokautowaliśmy przyszłego dziedzica okolicznej firmy papierniczej, tępego osiłka wykręcającego się ojcem w każdej możliwej sytuacji. Gutek stwierdził, że awanturnik wyglądał i zachowywał się jak pospolity debil, od siebie dodałem, iż gość miał nierówno pod sufitem. Słabe wytłumaczenie, jak się później okazało. Kiedy w grę wchodzi pieniądze oraz znajomości, ludzie ściągają spodnie i dają się rznąć w dupę. Władek Jagiełło wraz z Zyg-musiem Starym to najwięksi gwałciciele naszych czasów. Nie było sensu się dalej kłócić, prawda to pojęcie względne; zależy przede wszystkim od grubości portfela. Wiedzieliśmy, że w takich sytuacjach najlepiej wysłuchać, przytaknąć, lecz dalej robić swoje. Mniejsza wypłata to już dotkliwszy cios, ruszał bardziej niż opinia jakiegoś anonimowego frajera czy skarga bogatego imbecyla. Ale z tym też jakoś sobie poradzimy. Oby tylko Strachu albo Gardziel nie podpadli swoim przełożonym. Żaden z naszej trójki nie opiewał swojego pracodawcy w hymnach czy tomikach wierszy. Przejściowa robota na parę miesięcy stała się posadą na ponad trzy lata. To boli. W tamtej chwili trzymałem za nich kciuki. Oby im się udało. Niech Gardziel wyrobi sto pięćdziesiąt procent normy. Niech Strachu ukręci kichę, o jakiej marzył świat. Niech dadzą radę. Inaczej sprawy mogłyby się trochę skomplikować. Mieliśmy rachunki do zapłacenia, gacie do wyprania, brzuchy do zapełnienia, skóry i zęby do umycia. Poza tym żaden z nas nie chciał wracać do rodzinnego domu. Starsi Gardziela rozwiedli się dawno temu, moi byli na najlepszej drodze, a Strachu stwierdził kiedyś z chłodną obojętnością, że jego zgredy co prawda nadal są razem, lecz nadają ożywczy sens słowu „męczeństwo” (na ostatnią rocznicę ślubu dostali do swojego syna dwa kagańce – podobno mają lepsze wzięcie niż teflonowa patelnia czy komplet gustownych filiżanek). Woleliśmy klepać biedę, niż być klepanymi przez psychoterapeutów. W głębi ducha życzyłem cichemu zasrańcowi odparzenia tyłka na podgrzewanym fotelu ze skórzanym obiciem, a chłopakom z mojej paczki dobrego

dnia. Cholernie dobrego dnia.

Kierownik był rozczarowany. Prestiż wiejsko-miejskiej stacji paliw legł w gruzach, bo pracownik nie zrozumiał zbawczej idei łopatologicznego objaśniania klientowi rzeczy oczywistych. Jeszcze trochę, a będziemy musieli błagać, by Jaśnie Szanowni Petenci wyjęli pieniądze z portfela, bo to przecież takie ciężkie do przewidzenia. Dlaczego nie dadzą kasjerom białych fartuchów? *Czopek Jeff melduję się na stanowisku. Komu wejść w tylek i jak głęboko?* Jacy ci ludzie biedni; samotni, zagubieni, pragnący ciągłego prowadzenia za rączkę i głaskania po główce. Kowalski przyjechał zatankować auto, brawo! Kowalski zapłacił, owacje na stojąco! Kowalski chce fakturę, *Virtuti Militari* dla tego pana proszę! Czy zwykle Dzień Dobry, Proszę, Dziękuję, Do Widzenia straciło znaczenie? Przecież i tak mało kto dzisiaj korzysta z tego czarodziejskiego słowniczka. Musimy robić Hollywood z takich truizmów?

Za wyjątkowo niski poziom obsługi klienta odebrano nam premie na trzy miesiące. Za brak poczuwania się do winy kolejne dwa. Po pięciu minutach kierownik zastanawiał się, co my tu w ogóle robimy – dwójka zarozumiałych smarkaczy z przerostem ambicji i przydługimi jęzorami. Na szczęście (tym razem) znowu serwer zwariował, więc emocjonalne popisy rodem z polskich seriali paradokumentalnych zeszły na dalszy plan. I dobrze. Jeszcze trochę, a bym się rozplakał. Ze śmiechu.

To nie był dobry dzień. Nazwać go „popierdolonym” to grube niedopowiedzenie, eufemizm. Nie tchnął nawet odrobiną optymizmu, nie poklepał po plecach, nie obiecał, że jutro będzie lepiej. Po prostu podłożył nogę oraz przeszedł po plecach niczym po zakurzonej dywanie. Długiej drogi w dół ciągnął dalszy. Proszę zapiąć pasy i krzyknąć, aż pozdzieracie gardelka.

W drodze do domu miałem jeszcze zajrzeć do sklepu po parę drobiazgów na kolację. Nic szczególnego, przede wszystkim coś, na co było mnie jeszcze stać, a to znacznie upraszczało listę. Nie lubiłem zakupów. Po pierwsze dlatego, że towarzystwo ludzkie po dwunastu godzinach stania za kasą działało mi na nerwy. Sama myśl, że za chwilę stanę po drugiej stronie barykady, napawała mnie wstrętem, obrzydzeniem do siebie, gatunku, któremu podlegałem, systemu, w którym przyszło mi żyć. Po drugie zastanawiałem się, co też myśli o mnie pani za ladą, gdy tłoczę się w kolejce jak uczestnik jakiejś kiepskiej konsumenckiej pielgrzymki, kiedy kładę rozmaite pierdoły na czarną taśmę, czekając na swoją kolej. Nie wiem, co siedzi w głowie tamtej kobiety, ale w mojej kłębi się jedno słowo - przepraszam. Nie twierdzę, że wszyscy są tacy jak ja, że ubarwiają ten element życia nienawiścią, skrapiają pogardą i delektują się tym. Jasna cholera, to by dopiero było. Mam rozpaczliwą nadzieję, że inni mają więcej cierpliwości i dystansu do tej niewdzięcznej roboty. Zdaję sobie jednak sprawę, że nikt nie siedzi tam dla przyjemności. *Skoczmy na kawę? Nie, dzięki. Wolę wydawać paragony.*

Początkowo planowałem kupić dwa duże bochenki i coś do kanapek - ser albo jakąś kielbasę. Niestety, końcowe rozliczenie w pracy ujawniło, że w kasie brakuje prawie siedem dych. Po prostu zniknęły. Gutek był zdziwiony, ja jeszcze bardziej. Niby wszystko schodziło na bieżąco, nie mieliśmy większych wątpliwości, każdy uważał przy wydawaniu reszty, zawsze ktoś był przy stanowisku, więc o kradzieży nie mogło być mowy. Poza codziennym syfem obyło się bez wpadek. Poza tą jedną. Cholera, będę musiał zrewidować listę zakupów. Żegnaj, wypchana po brzegi ekologiczna reklamówko.

W sklepie kolejny szok. Podwyżki. Niby parę procent, ale grosz do grosza i szukaj Rokoszan. Przeciskałem się między niezdecydowanymi ludźmi, lawirowałem wokół wózków wypchanych różnymi rzeczami. Kryzys w państwie, bezrobocie szalejące jak goście na rozpitym weselu, ale papier toaletowy specjalny, miękki, trójwarstwowy, w trosce o dupcie całej rodziny; wolne popołudnie, więc zamiast herbaty najlepiej napić się trzech zgrzewek piwa, a dwie butelki wódki zostaną na jutro, jak braknie, to się dokupi, przecież w weekendy sklepy też otwarte, łaski nie robią; jeszcze papieroski, cały wagon, to nie będę musiał już w tym tygodniu brać; ile płacę? Ile?! Pani raczy żartować! Jakie to życie, kurwa, drogie! Nie mam pojęcia, czy to ślepotą, głupotą, zgryzotą czy jeszcze coś innego. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ludzka mentalność na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą.

Po minucie stania w kolejce czułem się potwornie. Kobieta za kasą chyba pracowała tu od niedawna. Nie widziałem jej wcześniej, a i ze sposobu pracy domyśliłem się, że nie do końca radzi sobie z obsługą klientów. Jakby tego było mało, jakaś wymalowana blond rura blisko pięćdziesiątki ostentacyjnie wyrażała swoje zniecierpliwienie. Prychała, wzdychała, co chwila spoglądała na złoty zegarek, rzucała kąśliwe uwagi, szukając poparcia wśród ludzi z kolejki. W tamtym momencie miałem szczerą ochotę wycofać się i wyjść. Pierdzielię zakupy, przeżywaliśmy z chłopakami gorsze dramaty niż brak chleba z masłem na kolację. Chciałem wyjść, bo widok tej zagubionej kobiety na krześle nie dawał mi spokoju, zapalałem nienawiścią do chleba, masła, dżemu, własnego żołądka. Biedaczka skanowała towar, próbowała wprowadzić kod ręcznie, ale kasa wydawała z siebie pojedyncze krótkie piknięcia. Czy tylko ja czułem, że atmosfera zaczyna nieprzyjemnie gęstnieć? Czy reszta była do tego stopnia znieczulona, że widok używek, zarcia czy kolorowego papieru do dupy przesłonił im tragedię pewnej pani walczącej z przestarzałym elektronicznym sprzętem? Wyglądało na to, że tak. Z każdej strony zaczęły dochodzić do mnie pomruki niezadowolenia, bujanie głową w geście dezaprobaty, kolejne fale westchnień. Dlaczego tak wolno? Ta baba zaniża prestiż sklepu, co ona tu robi? Gdzie szef, kierownik, trzeba to zgłosić. Szukałem poparcia w tej paradzie ignorancji, błądziłem po twarzach pozostałych klientów, wypatrując najmniejszych oznak uczuć wyższych, czegoś więcej niż debilnego przewracania oczami lub groteskowego wydymania warg. Ludzie, tę kobietę przygnał tutaj przymus. Gdyby mogła, nadal rozwiązywałaby krzyżówki w domowym zaciszu, słuchała muzyki z lat osiemdziesiątych, spędzała czas z mężem, dziećmi, wnucami albo oddawała się innej, bardziej ambitnej pracy niż karmienie waszych tłustych, egoistycznych cielsk. Postawcie się na jej miejscu. Spójrzcie w oczy hordzie wygłodniałych hien z grubymi portfelami i spróbujcie nie zwariować.

Przeliczyłem się. W tym towarzystwie królowało bezgraniczne samouwielbienie, mentalna masturbacja przed własnymi fotografiami.

Nadeszła moja kolej. Teraz przy kobiecie (ANNA – UCZĘ SIĘ) stała jej młodsza koleżanka. Wyłożyłem dwa bochenki chleba, masło i dżem wiśniowy.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry – odpowiedziały panie po drugiej stronie. – To wszystko? Dziewiętnaście osiemdziesiąt osiem.

Wręczyłem im banknot dwudziestozłotowy. Kasa znowu piknęła ostrzegawczo, Anna na szczęście zachowała kamienną twarz, choć widać było, że miała ochotę roztrzaskać to piszące gównno na ścianie. Właściwie to sam miałem taką ochotę. Gdybym tylko dosięgał rękoma.

- Przepraszamy za opóźnienia – oznajmiła młodsza z pań. – Kasy dzisiaj są nie do przejścia.

- Nie szkodzi. Przepraszam za to niecierpliwe towarzystwo przede mną i za mną.

Kasjerki oderwały wzrok od monitora. Taksowały mnie pełnym zdziwienia spojrzeniami. W kolejce wybuchła nowa fala oburzenia. Że to niby do mnie? Za kogo ty się masz, gówniarzu? Cóż za brak kultury! Ta młodzież! Z każdym kolejnym okrzykiem uśmiechałem się coraz szerzej. Mój entuzjazm rósł wprost proporcjonalnie do liczby zniesmaczonych klientów, eksplodował jak obudzony do życia wulkan. Widok naburmuszonych pajaców napawał mnie autentyczną radością. Co więcej, nie byłem sam, teraz to zauważyłem. Dwie czy trzy osoby w tłumie uśmiechnęły się do mnie i pokazały wyprostowane kciuki. Przy najmniej oni. Poczułem się lepiej, o niebo lepiej. Dobrze wiedzieć, że głupota nie wszystkim przeżarła mózgi, że mam sojuszników w mojej egzystencjalnej walce z wiatrakami. Może nie wywołałem rewolucji, lecz niektórym to i owo poszło w piętki. Pierwszy punkt w misji powtórnego ucłowieczania zdobyty. Podziękowałem za zakupy i życzyłem paniom spokojnego wieczoru. Zasłużyły na niego. Zostawiłem nawet szesnaście groszy napiwku. Jestem renomowanym sprzedawcą paliw, stać mnie!

Przez całą drogę do domu jakaś dziwna, irracjonalna tęsknota dotrzymywała mi kroku. Słyszałem stukot jej butów, czułem jej palec dżgający mnie po plecach (idź dalej i nie patrz się za siebie, a nic ci się nie stanie), jej oddech na karku; jakby awantura w sklepie rozbudziła w moim wnętrzu nowe pokłady sił do



wojowania z tym nieszczęsnym światem. Kiedy przystawałem, by się odwrócić, wszystko ustawało. Okolica nabierała dawnego, mętnego kształtu, ulice pachniały tą samą, fermentującą codziennością. Głowa pękała mi od nadmiaru pomysłów na własne życie, głupich urywków koncepcji bez żadnego kontaktu z rzeczywistością, odległych od Ziemi o tysiące lat świetlnych. Teoretycznie mogłem być każdym; lekarzem, strażakiem, filantropem, prezydentem. Perspektywy wyglądały jak odbicie w potłuczonym lustrze; mnóstwo odprysków bez spójnej całości. Chyba na tym głównie polegał mój największy problem: za dużo widziałem, za dużo słyszałem, za dużo myślałem. Potrzebuje przełomu, szepnął cichy głosik. Doszedłem do krytycznego momentu, kiedy zazdrościłem wszystkim ludziom, którzy nie zazdroszczą innym. Niby potrzebowałem pieniędzy, ale wiedziałem, że nie one same są gwarancją szczęścia. Niby nie znosiłem towarzystwa, ale czasem brakowało mi przyjaznej dłoni i drugiej pary oczu, w które mógłbym spojrzeć. Niby chciałem zostać anonimowy, ale odrobina sławy jeszcze nikomu nie zaszkodziła, prawda? Pragnąłem już więcej nie pragnąć, pogodzić się z tym, co mam. Czy to właśnie przez to nie mogłem znaleźć swojego prawdziwego celu? Cholera, nie wiem. Gdybym wiedział, nie sterczałbym na środku ulicy z jednorazową reklamówką, snując filozoficzne przypuszczenia, rozmawiając z dwoma bochenkami chleba, ciepłym masłem i dżemem wiśniowym.

Minąłem kościół, gdzie dobiegało końca jakieś nabożeństwo. Przed wejściem sterczała duża figura ukrzyżowanego Jezusa. Zatrzymałem się na chwilę, patrząc na twarz pogrążonego w cierpieniu zbawiciela. Pomyślałem o wszystkich tych ludziach, którzy zaraz wyjdą ze świątyni – tacy czyści, nowi, lepsi – i niebawem wrócą do mętej codzienności: bezrobocia, rodzinnych konfliktów, zdrad, dziadowskich prac, całego tego gówna. W kościele padają na kolana i biją się w pierś, podają sobie dłonie, przyznają do grzechu. Godzinę później znowu skaczą sobie do gardeł, w mniej lub bardziej wysublimowany sposób. Jeśli jesteśmy stworzeni na boskie podobieństwo, to niebo musi być strasznie przereklamowane, pełne oszustów, konfidentów i idiotów. Chyba już wolę Latającego Potwora Spaghetti.

Przez drzwi przeciskali się ludzie, w środku organista grał ostatnią kadencję do radosnej pieśni. Panowała podniosła atmosfera, jakby uczestnicy poznali jakiś magiczny sekret. Ksiądz żegnał się przed głównym wejściem z wiernymi. Ścisnął wszystkim ręce, uśmiechał się od ucha do ucha, sprzedawał krzepiące słowa i haselka na parę wzniosłych wieczorów, które po kilku dniach w twardej rzeczywistości tracą cały swój urok. Jakaś kobieta do tego stopnia utonęła w religijnej ekstazie, iż mało na mnie nie wpadła. Szła przed siebie z zamyśloną twarzą, nieobecny wzrokiem, potykając się o własne nogi. Chyba stała zbyt blisko kadzidła. W ostatniej chwili odzyskała kontakt z bazą.

- Och, przepraszam – wykrztusiła – ale ta pieśń jest taka piękna. Nie sądzisz, młody człowieku? Mam ochotę wyjść do ludzi i wykrzyknąć im, że Bóg ich kocha, żeby przestali się zamartwiać, bo On wszystko naprawi!

- Tonika, subdominanta i dominanta. Najpierw w trybie durowym, później mollowym. Wielkie mi mecyje. Jeśli chodzi o kilka par uszu, proszę iść dwie przecznice dalej i skrócić w lewo. Znajdzie tam pani podatny grunt.

- Co tam jest?

- Onkologia dziecięca. Dziesiątki wyłysiałych główek czekają na pani Zbawiciela. Pozwolę sobie zaryzykować stwierdzeniem, iż są na ostatniej prostej.

Do mieszkania dotarłem z małym opóźnieniem. Częściowo z powodu kolejki w sklepie, częściowo przez natchnioną apostołkę przed kościołem, ale głównie przez to, że nie chciało mi się tam wracać. Szwendałem się po wyludnionych ulicach (młodzież obozowała na polach naftowych stacji benzynowej – DJ Oktan jak co wieczór rozkręca imprezę), bijąc się z myślami. Musiałem wyglądać jak przybysz z innej planety. Zamyślona twarz, robocza koszulka w pastelowych barwach i przezroczysta torebka z topniejącym masłem. Podobał mi się dzisiejszy wieczór. Był ciepły, lecz nie duszny, wiał przyjemny wiatr, niebo skrzyło się całą gamą gwiazd. Idealna pora na skrócony bilans zysków i strat, ten destrukcyjny raport,

dzięki któremu uświadamiasz sobie, że jedyne, z czego wyrosłeś to szkolne ubrania, że reszta jest taka sama jak tydzień temu, dwa tygodnie, pół roku, dwa lata... Aj, czego tak trąbisz, człowieku! Już schodzę! Strachu i Gardziel siedzieli przed telewizorem, zajadając suche wafelki. Gdy wszedłem, odwrócili na chwilę głowy, ale tylko na moment. W końcu był mecz, dobiegała końca pierwsza połowa.

- *Willma, I'm Home!* – krzyknąłem, naśladując najlepiej jak mogłem Freda Flinstona.

- Znowu zabrali ci premię – zauważył kwaśno Strachu, obrzucając moje zakupy przelotnym spojrzeniem. – Raporcik?

- Tak – odpowiedziałem. Usiadłem obok nich i wziąłem dwa ciastka. – Łącznie na pięć miesięcy. Ale spokojnie, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, więc zawsze może być więcej. Przegrałem bitwę, ale mogę wygrać wojnę.

- Przegrywasz w chińczyka, w pokera mało nie przerąbałeś własnego telefonu, a w tysiąca zajmujesz zawsze pierwsze miejsce. Od końca. Nie myśl, że mam cię za jakiegoś życiowego pechowca, ale lepiej nie walczyć na własną rękę, dobra? Jeszcze odstrzelisz sobie jaja.

- Roger – zsalutowałem. – A tak na przyszłość, mów mi Edyp.

- Nie omieszkam – dodał Strachu – choć nie przedstawię cię osobiście swojej matce, już pięć razy zmieniła numer telefonu. Ta twoja sympatia do starszych kobiet od początku wydawała mi się strasznie podejrzana.

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek – podsumował Gardziel, kończąc drugą puszkę piwa. – Niech chłopak robi, co chce. Wszystko później do niego wróci.

- Dokładnie – Strachu podniósł palec niczym wykładowca po zaskakująco dobrej odpowiedzi. – Karma.

- Brzmi staroświecko – rzucił Gardziel – wolę termin „jedzenie”. W ostateczności „strawa”.

- Niech będzie. A propos współczesności, ktoś dzwonił do ciebie, jak byłeś w pracy. Oczywiście nie wzięłeś telefonu.

Strachu podał mi komórkę. Na wyświetlaczu widniało kilka nieodebranych połączeń i dwie wiadomości. Smsy nie powalały na kolana, chyba że chciałem wziąć parę tysięcy kredytu z atrakcyjnym oprocentowaniem i zapłacić za przepowiednie wróżki Lucyny (Zobacz co przyniesie ci magia Saturna). Poza tym trzy numery próbowały nawiązać ze mną kontakt. Jeden należał do Gardziela, pewnie miałem wziąć piwo, może coś do przegryzienia – nie tym razem, kolego. Dalej były dwa sygnały od Laury; jasny gwint, nie widziałem się z nią od ponad dwóch lat! W jakiej sprawie mogła do mnie dzwonić? Nie wiedziałem, ale strasznie mnie to ciekawiło. Fakt, że nadal się w niej podkochiwałem, dodatkowo podsycał żar domysłów. Może zaczęła się w jakimś większym mieście i szukała współlokatora, może się stęskniła, chociaż podczas ostatniego spotkania nie wyglądała na szczególnie przejętą rozłąką, może na chwilę przypomniawszy sobie o mnie, na fragment czasu wystarczająco długi, by dwukrotnie wybrać numer, lecz za krótki, by dalej zawracać sobie tym głowę.

Jako ostatni na wyświetlaczu migał obcobrzmiący ciąg cyfr. Na ten widok serce zabiło mi najmocniej. Niczym tonący brzytwy uczepiłem się myśli, że to jeden z pracodawców, do których rozesłałem tyle podań, życiorysów, listów motywacyjnych. Że los wreszcie się do mnie uśmiechnął. Czyżby moje błagania zostały wysłuchane? Czyżby fortuna wyciągnęła ku mnie wyprostowany palec, tym razem wskazujący, a nie środkowy? Wierzyłem, chciałem wierzyć, że tak. Bo może to się wydać dziwne, ale dla niektórych ludzi wiek dwudziestu sześciu lat to najdalsza granica sukcesu. Wmawiają sobie, że jeśli w tym roku nie wydarzy się nic nowego, ożywczego, to dalej będzie tylko przepaść.

Poderwałem się z kanapy i wybrałem numer, którego nie miałem w książce telefonicznej. Pierwsza próba, druga, trzecia. Cisza. Spojrzałem na zegarek. No fakt, jest późno. Ale warto było zaryzykować. Jutro z samego rana zadzwonię znowu, tym razem do skutku. Muszę być pierwszy, wyprzedzić potencjalnych rywali. W wyścigu po lepsze życie nie ma sentymentów, jeśli ktoś staje ci na drodze, kopiesz między nogi i biegniesz dalej. W myślach rozważałem scenariusze mojej nowej posady. Szkoda będzie się wyprowadzać, zostawiać Stracha i Gardziela, lecz w imię lepszego życia byłem gotów na ten towarzyski

gambit. Albo zabiorę ich ze sobą. W końcu oni też zasypali miasta podaniami. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Po trzecim fiasku mój entuzjazm nieco przygasł, jakby instytucja, która chciała ze mną porozmawiać (lub to jedynie biuro obsługi klienta z następną ofertą) jutro miała się zapaść pod ziemię. Cholera, tej nocy sobie nie pośpię. Już miałem odłożyć telefon, gdy z głośnika dobiegła znajoma melodyjka. Numer odzwaniał. Ten numer! Gardziel i Strachu zastygli w niemym oczekiwaniu, podczas gdy w telewizorze dwójka pajaców do spółki z jakimś mało znanym wokalistą (lubił mówić o sobie „niszowy”) reklamowała sieć komórkową z superszybkim Internetem. Dziewczyna próbowała wylansować się na rasową wokalistkę, choć brzmiała jak nastoletnie beztalencie na ostrych prochach. Koleś szczyrzył zęby i posyłał żalosalne buźki do kamery, a nasz „niszowy” wokalista promował swój najnowszy utwór wśród tandetnej gry dźwięków i świateł. Pamiętam, że tego typu spoty zawsze strasznie mnie wnerwiały. Ale nie wtedy. Wcisnąłem zieloną słuchawkę.

- Halo?

- Witam. Tu Aneta Malinowska z działu obsługi klienta najlepszej sieci komórkowej w Polsce. Dla dobra naszych klientów informuję, iż rozmowa jest rejestrowana. Dzwonię w sprawie nowej oferty, przygotowanej specjalnie dla pana. Czy ma pan chwilę czasu na wysłuchanie mojej propozycji?

- Owszem – burknąłem – czasu to ja mam po dziurki w nosie, pani Malinowska. Aż mi się przelewa.

- Och, to wspaniale! W taki razie...

Rzuciłem telefon na drugą kanapę. Niech się Anetka produkuje. I tak zaraz padnie mi bateria.

Pożyczyłem komórkę Stracha i wybrałem numer do Laury. Po dwóch latach nadal potrafiłem wyrecytować go w środku nocy. Kwestia awansu społecznego skreślona, lecz zawsze jest miłość. Bo choć nie chciałem powiedzieć tego głośno, miałem wielką nadzieję na odnowienie kontaktu z tą dziewczyną. Kolejne podejście, nowa motywacja, stara, spiętrzona do granic możliwości tęsknota. Albo obrzucimy się nawzajem inwektywami, albo wylądujemy w łóżku. Żadnej kawy, ciastka, pierdolenia o pogodzie lub kiepskich tematów odsuwających od sedna sprawy. Chwila szczerości w moim autorskim wydaniu.

Przyłożyłem słuchawkę do ucha. Czekałem. Znowu. Czy w tym cholernym świecie wszystko zawsze sprowadza się do czekania?! Po chwili uprzejmy głos rozwiął wszystkie moje nadzieje, zdmuchnął je z gracją tornada.

- Numer, do którego dzwonisz, jest aktualnie zajęty. Proszę spróbować później...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ipsylon, dodano 31.08.2014 10:28

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).